

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 116

№ 2. | Warszawa, 3 (16) stycznia 1904 r. | Rok VI.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Gruba sztuka.

KRÓLIKI W KRAJU.

Jeden z naszych znajomych na polowaniu w Nieborowie strzelał do dzikiego królika. Fakt ten, na pozór nieznaczący, jest w gruncie rzeczy stokroć donioślejszego znaczenia, aniżeli zjawienie się wilków w Jadowie. Wilki przy troszce starania wytępić łatwo i niewątpliwie wytępione będą. Inaczej rzeczy stoją z tym maleńkim, a tak płodnym szkodnikiem, który zaledwie przed kilkunastu laty przekroczył granicę Królestwa, a dziś spotyka się już ledwie o 60 wiorst od stolicy; spodziewać się więc można i należy, że w niedalekiej przyszłości zaleje on całą część kraju pomiędzy Wisłą a granicą pruską, a przy zamarzniętej Wiśle przedostanie się zapewne i na wschodnią jej stronę.

Z tych względów dziś już pomyśleć trzeba o radykalnem przeciwdziałaniu postępowi tego nieproszonego gościa w jego wędrówce na wschód, gdyż o całkowitem wytępieniu mowy już być nie może. Inicyatywę tego wziąć na siebie powinny gubernialne towarzystwa rolnicze przy współudziale Warszawskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, jako instytucyi, mającej na celu godzenie interesów rolnictwa z interesami łowiectwa. Na początek należałoby sprowadzić do kraju t. zw. *Furety*, czyli tchórki, które należałoby w kraju rozpowszechnić, jako znakomicie pomagające do tępienia królików. Następnie wydać broszurę o tępieniu królików i broszurę choćby bezpłatnie rozpwszechnić w kraju. Pamiętać musimy, że im wcześniej weźmiemy się do tępienia tych groźnych nieprzyjaciół rolnictwa i leśnictwa, tem łatwiej zapobiegniemy ich zbytniemu rozpowszechnieniu się na ziemi naszej.

Jan Sztolcman.

ZAJĄC POSPOLITY

(Lepus timidus)

przez

Wiktora Stephana.

(Praca, nagrodzona I-ą nagrodą na konkursie Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa).

(*Dalszy ciąg.*)

Wogóle samica troszczy się bardzo mało o swoje potomstwo; wskutek czego młode zające, zmuszone koniecznością, po 6-ciu lub 8-iu dniach żyją już własnym przemysłem. Samica jednak mogłaby młode karmić 14 i 20 dni nawet.

W niebezpieczeństwie opuszcza samica młode i ratuje się ucieczką. Przeciwko małym drapieżnikom, jak np. ptakom i t. p., staje nieraz w obronie młodych.

Z pierwszego lęgu zazwyczaj większa część ginie z przyczyn atmosferycznych, a także z braku dostatecznej osłony od drapieżników, w czasie bowiem pierwszego lęgu, pola są jeszcze nagie i młodzież nie ma należytego ukrycia. Samiec nawet dosyć często zabija młode łapkami lub je zagryza. Młode zające z jednego lęgu trzymają się zazwyczaj kilka tygodni razem, a przynajmniej w pobliżu. Każdy zajączek ma oddzielną swoją kotlinę; ruszony z niej, kładzie uszy po sobie, kluczy i za chwilę wraca do niej z powrotem.

Z pierwszego lęgu młode, rodzą jeszcze tego samego roku, zwykle tylko jedno młode, które jednak najczęściej słabe z powodu braku odpowiedniej, młodej roślinności, jak niemniej z powodu deszczów i zimna, ginie.

Sławny niemiecki myśliwy, Diezel, przypuszcza, że na 100 samic rodzących w zimie, tylko 15 do 20 wytrzymuje poród, a młode giną zupełnie.

Zając żyje 6 do 8 lat, wobec jednak zasadzek na jego życie, rzadko któremu uda się dożyć wieku normalnego.

W domu zając wychowuje się bardzo łatwo, początkowo cieplem, słodkiem mlekiem, które pije do

NA ROJSTACH LITEWSKICH.

(*Ciąg dalszy*).

W duszy przeklinałem chwilę, w której przyjechałem na te wertepy, zabite rano głuszce, całą Litwę z jej rojstami, a nadewszystko moje pardwy, kołyszące mi się u pasa i tłukące mi nogi. Kiedy szliśmy przez jakąś polankę, przed samym nosem mignął mi ptak; nie sięgnąłem nawet po fuzyę, bo brakło mi energii do wykonania tego ruchu.

— To nocnica — objaśnił Jan (lelek, kozodój).

Kozodój odprowadził nas ze sto kroków, migając przed nami w prawo i w lewo, jakby się chciał przypatrzeć, co to za milczące postacie budzą śpiącą puszczę.

Z suchego rojstu spuściliśmy się za Janem, który prowadził nas na przełaj, w mokre grzęzawiska. Jeżeli pochód po rojście był już okropnym, to tu droga zaczynała się niedoopisania. Noc zrobiła się już zupełna, ciemna, choć oko wykol, zarośla stały się jeszcze gęstszemi i czarniejszemi. Pod nogami czułem ustawicznie wodę, ciepłą od dziennego upału. Na bagnie rosły jakieś kępy, o które zawadzałem co krok nogami, zapadając się między kępami po kolana. I tu, jak w rojście, nie brakło gnijących złomów, kaleczących stopy. Czasami stawiałem nogę na jakiś zgniły pień, który zapadał się pod mym ciężarem, wiążąc mi nogę. Powietrze przytem było tak parne i duszne, że oddychać było trudno i literalnie pływałem w pocie.

Nie wiem, jak długo trwała ta droga, bo w końcu nie byłem w stanie nawet myśleć, i dobywałem resztki sił na wyciągnięcie nóg z błota, po którem stąpałem. Zawieszone u pasa ptaki, kręciły się na trokach, jak żywe, kołysząc się i podskakując za każdym moim ruchem. I to utrudniało mi pochód niezmiernie. Z pomiędzy wszystkich wrażeń, odebranych w ciągu mego pobytu na Litwie, ten nocny powrót zapisał mi się najgłębiej w pamięci; nie zapomnę go, póki życia.

Wreszcie po jakiejś godzinie, czy dwóch takiej męczarni, zaczerniała przed nami szopa z sianem; byliśmy u celu. Resztką sił dowlokłem się do siana i odpiąwszy pas mej ładownicy, rzuciłem się, jak martwy, ani pomyślawszy nawet o zmianie odzienia i o posiłku. Usypiając, czułem, jak poczciwy, nieoceniony Jan rozsznurowywał mi łapcie i nakrywał kocem.

Upadł tej nocy tęgi deszcz; przez niedokończoną połowę dachu lały się na mnie strumienie wody, a pomimo to spałem, jak kamień, i nie obudziłem się aż rano, zmoknięty, jak kura.

Była to, jak przyznawał sam Jan, niezwykła eskapada nawet dla niego, który przez długi swój wiek nieraz wracał nocą i zmęczony całodziennem polowaniem.

skonale i bez trudności w przyuczaniu go do sztuki picia, a następnie żywi się samodzielnie jarzynami i t. p.

Podają, że kotka chętnie przyjmuje młodego zajączka i tak się nim przejmuje, że swoje młode zwykle opuszcza.

Niedawno sam miałem młodego zajączka; chował mi się bardzo dobrze. Początkowo pił mleko z łyżeczki, następnie ze spodka, a sypiał w futerku, w rękawie. Cały dzień nie można go było niczem zabawić, wyjęty z rękawa, zawsze skrzętnie wracał z powrotem; nad wieczorem jednak, punktualnie o zachodzie słońca wyłaził dobrowolnie z rękawa i siadał w ganku na progu.

Naturalny popęd przygłuszyć się nie dał; zajączek się budził i ożywiał, gdy nadchodził czas żerowania. Ostatecznie, kiedy dorósł połowy swej naturalnej wielkości, obdarzyłem go wolnością.

Młody zajączek podatny jest do nauki, wyucza się różnych sztuczek. Najłatwiej wyuczyć zająca służyć, t. j. stać na tylnych nogach i bębnić przedniemi łapkami.

Do nauki niechętne zające nakłaniają głodem. Stare zające oswoić się nie dadzą i żyją w niewoli stosunkowo bardzo krótko.

Naturalista Brehm przytacza, że zając żyje dłuższy czas w niewoli, jeżeli jest żywiony suchą paszą. W niewoli zając z braku ruchu zwykle zapasa się i ginie. W takich wypadkach obok ogólnego otłuszczenia, konstatuje się także nadmierne rozszerzenie wątroby, co właśnie stanowi cechę charakterystyczną intensywnego karmienia. Wrażliwość na zmianę powietrza okazują i w niewoli, większą ruchliwością i wogóle niepokojem. Co do ilości pożywienia, skonstatowałem, że zając wielkości pół kota, wagi dwóch funtów — zużywa zielonej paszy około jednego funta na dobę.

Zając, jako zwierzę słabo uzbrojone, na każdym kroku spotyka się z nieprzyjacielem.

Lis, jako pierwszy przeciwnik przy każdej sposobności, tak młodego, jak i starego morduje bez pardonu, szczególnie w maju, kiedy ma młode.

Żbik, tam, gdzie się jeszcze znachodzi, jest również zajadłym wrogiem rodu zajęczego.

Kuna jest dla zajęcy bardzo niebezpieczna, ponieważ jednak żyje przeważnie w lesie, więc szkody, przez nią w stanie zajęczym wyrządzone, nie są tak znaczne. Więcej jeszcze niebezpiecznemi wrogami są: łaska i tchórz.

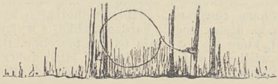
W roku 1894-ym w zrębie przy publicznej i bardzo uczęszczanej drodze, zauważyli robotnicy, zające tam kopaniem pniaków, że za stosem opałowego drzewa, walczy zając z łaską. Łaska, wpiwszy się w kark zająca, mimo silnych jego skoków, zrzucić się nie dała. Dopiero robotnicy ją odstraszyć zdołali i zając, chociaż okaleczony, uszedł jednak z życiem.

Tchórz poluje zazwyczaj wieczorem i dusi całe gniazda młodych. Borsuk młodym zajączkiem, którego złapać może, również nie gardzi.

Dzik, jeżeli tylko natrafi na kotlinę, to cały ląg pożera. Ze zwierząt domowych pies i kot znaczne szkody wyrządzają.

Z ptaków drapieżnych niebezpiecznemi są: puhacz, niektóre gatunki jastrzębi i sokołów, a dla młodych zajączków także kruk, wrona, sroka, a nawet bocian i sójka.

Najniebezpieczniejszym dla zająca jest jednak zawsze człowiek. Już od lat chłopięcych, kiedy to bydło pasa, jest wieśniak wrogo usposobiony dla wszelkiej zwierzyny. Jako malec, łapie młode zajączki, gdzie tylko może, dla igraszki, a przy pasaniu bydła nie zbywa mu na sposobności i czasie — może więc znaczne szkody wyrządzać.



Sidło druciane, czyli wnyk zastawiony.

Starszy chłop dla lekkiego zysku łapie zające na wnyki, czyli sidła druciane. W zimie podczas dużych śniegów, kiedy zające za żerem podchodzą do zagród włościańskich, czyha chłopek z fuzyą pod stodołą lub stogiem i zdradziecko jednego po drugim wybija. Nie mówię już o tych upartych łowach zawodowych kłusowników, którzy polując, zdecydowani są na śmierć i życie.

Obudziłem się dość późno cały zmoknięty i drżący od zimna. Za szopą palił się rozniecony, duży ogień, przy którym towarzysze mej niedoli suszyli odzienie i gotowali herbatę. Miałem na szczęście suchą, wełnianą koszulę, którą przywdziałem, zrzuciwszy czemprędzej mokre szaty. Bolały mnie wszystkie kości, nie mogłem rozprostować skostniałych członków, ale czułem się wogóle dość dziarskim i wypoczętym po wczorajszej przeprawie. Zasiadłem przy ogniu w kuczki i popijałem gorącą herbatę, lubując się ciepłem, bijącem od płonącego stosu.

Życie zaczynało w nas wstępować i miny po wczorajszem znużeniu i nocnym prysznicu mieliśmy niezłe. Upłynęły dwie godziny, zanim wyschło nasze odzienie, rozwieszone nad ogniem; na cietrzewie było już tego ranka zapóźno. Obiecywał nam za to Jan dubelty niedaleko, na które też ruszyliśmy, nie chcąc tracić drogiego czasu.

Słońce już było wysoko i tylko po głębokim lesie znać było ślady wczorajszego deszczu. Błoto, na które prowadził nas stary sługa, zaczynało się o dwieście kroków od naszej szopy; iść więc nie potrzebowaliśmy daleko i założywszy patrony z bekasim śrótem, zaczęliśmy polowanie. Zaraz na początku łąki wpadłem w jakąś głęboką dziurę, z której ledwie mogłem się wygrzebać, zabłocony do pasa. Niebezpieczeństwa nie było, ale błoto było jakieś dziwnie lepkie i tłuste tak, że obsychając, utworzyło pancerz, który mocno utrudniał mi ruchy.

Miejscowość była zupełnie dziewicza, pusta i głucha. Oprócz myśliwych nie chodził tam chyba nikt; trawy nie cięto, bo była dzika i kwaśna, pomieszana z sitowiem i tatarakiem; grzyby nie rosły, więc i okoliczni włościanie nie mieli tam po co chodzić. Nawet bydło nie utrzymałoby się na grzązkiej i trzęsącej powierzchni. Miejscami trzciny były gęste, jak las, a sitowia dorastały długością człowieka. Po bagnie, wogóle niskiem i grząskiem, rozsypane były, jak wysepki, małe, piaszczyste pagórki, pokryte karłowatą brzozą i wrzosem.

Krajobraz był tak dziki, że chwilami zdawało mi się niepodobnem, żeby te miejsca leżały w Europie, tak bardzo odpowiadały obrazom, w jakich przedstawiały mi się indyjskie dżungle, albo pampasy Ameryki.

Zwierzyny, oprócz kilku kszyków, które zerwały się poza obrębem strzału, nie było. Na dubelty było widocznie jeszcze zawcześnie. Łąka ciągnęła się wąskim pasem między dwiema ścianami lasu, szeroka może na wiorstę. Widząc, że na łące nic niema, zwróciłem się ku bliższemu lasowi, chcąc użyć przynajmniej cienia, a może upolować jakiego rzadszego ptaka. Jakoż ledwie zbliżyłem się do zarośli i począłem iść wzdłuż ciągnącej się ściany boru, kiedy z nad drzew na dwadzieścia kroków wyleciał spokojnie i powoli jakiś wielki, czarny ptak, duży, jak czapla, i podobny do niej z ruchów. Ponieważ szedłem tuż pod drzewami, nie zauważył mnie i wymierzyć mogłem spokojnie. W chwili, kiedy pociągnąłem za cyngiel,

Niejednokrotnie sam właściciel, korzystając nieumiejętnie z prawa polowania, staje się wrogiem rodu zajęczego.

Czasami ród zajęczy sama natura dziesiątkuje. Ostra zima wycieńcza zająca brakiem pożywienia; staje on się wówczas łatwiej pastwą drapieżników; zaś zbyt lekka zima powoduje wczesne lęgi, które bądź to wskutek długotrwałych deszczów, bądź też wskutek zimna, prawie zawsze całe przepadają.

Aby wszystkie te przeciwieństwa należycie umieć odczuć, trzeba być na to koniecznie myśliwym.

(*D. c. n.*).

MIĘKKOPIÓR,

czyli kaczka edredonowa.

(*Dokończenie*).

Młode miękkopióry karmią się mięczakami, małemi rybkami, raczkami, źdźbłami morskich wodorostów i t. p. Rosną wogóle bardzo szybko, z wyjątkiem skrzydeł, które się rozwijają bardzo powolnie. Dochodzą już wielkości starych, a jeszcze latać dobrze nie mogą. Samce zachowują do końca jesieni skromne ubarwienie młodych i samic, a dopiero pod koniec sezonu dostają kilka piórek kremowych. Górna część ciała przybiera swe świetne ubarwienie dopiero w połowie następnej jesieni, a na trzecią wiosnę miękkopiór zaczyna się rozmnażać.

Pod koniec jesieni młode i stare, samce i samice, łączą się w niezliczone stada, aby wspólnie stawić czoło surowej zimie. W tym to czasie, tak ostrym w naszym klimacie, tworzą się już wzdłuż pobrzeża pola lodowe, ciągnące się niekiedy na kilka mil szerokości, a poprzerzynane tu i owdzie szparami i szczelinami, w których woda nie zamarza, chwilowo przynajmniej, pomimo najostrzejszego zimna, zachowując płynność i przezroczystość niepospolitą. Ciekawe to, a dotychczas naukowo nieobjaśnione zjawisko, powtarza się szczególniej przy niektórych wyspach. W tych to właśnie miejscach, wolnych od lodu, przebywają miękkopióry, do których przyłączają się inne gatunki, jak „warnicootals“ (*Somateria spectabilis*), moniaki wędrowne (*Somateria borealis*), lodówki (*Harelda glacialis*) i trzy gatunki gągołów (*Clangula americana, Clangula islandica* i *Charitonetta albeola*). Ptaki te, nie mieszając się bynajmniej, zbierają się tu w olbrzymich ilościach, przekraczających najbujniejszą imaginacyę. I mimo, żem je tam widział setki razy, nie śmiem choćby w przybliżeniu określić ich liczby, aby mnie o przesadę nie posądzono.

W końcu marca te stada niezliczone zaczynają się rozbijać, a w pierwszych dniach kwietnia rozpoczyna się przelot stadek, po 20 do 50 sztuk liczących. Najprzód te przeloty rozpoczyna miękkopiór wybitny, a po nim idą miękkopióry północne. Oba te gatunki lecą wzdłuż pobrzeży, nie zatrzymując się dla gnieżdżenia, aż w cieśninie Hudsońskiej lub nawet na wysokości morza Kara. Lodówki lecą również w te same strony, lecz trzymają się innej marszruty. Większość ich ciągnie poprzez północno-wschodnie terytorya, pozostawiając liczne kolonie na brzegach niektórych jezior, położonych poniżej kanału Księcia Walii; reszta zaś ciągnie dalej. Co się zaś tycze gągołów, to one kierują się ku zachodnim terytoryom, gdy inne rozpraszają się na pobrzeżach zatoki ś-go Wawrzyńca, gdzie budują sobie gniazda w dziuplastych drzewach, bardzo często spotykanych w okolicznych lasach. Pod koniec maja z pomiędzy wszystkich gatunków, zimujących na polach lodowych, zostaje już tylko miękkopiór pospolity, gnieżdżący się na całej długości pobrzeża Labradoru kanadyjskiego.

Pod koniec marca lub w pierwszych dniach kwietnia rozpoczynają się, peryodycznie organizowane polowania na te ptaki. Polegają one na mordowaniu miękkopiórów w chwili, gdy one przelatują nad cyplami ziemi, daleko w morze zachodzącemi. Myśliwi ukrywają się starannie na samych końcach tych cyplów i strzelają do przeciągających w pobliżu stad, aż do chwili, kiedy przypływ morza ich ztamtąd nie wypędzi. Widziałem strzelców, którzy zabijali na siebie do 80 sztuk przez jeden odpływ. Te straszne rzezie, które zresztą ku wielkiemu memu wstydowi i ja praktykowałem za przykładem innych, trwają zwykle od początku kwietnia do 10 maja.

---

zobaczyłem, że ptak ma wiśniowe nogi. Po strzale obsunął się miękko, ukośnie na ziemię i upadł powoli, jak liść z drzewa, z rospostartemi szeroko skrzydłami. Oglądając go zblizka, domyśliłem się, że mam przed sobą czarnego bociana.

Niepodobna się było omylić, bo pominąwszy upierzenie, podobny był z postawy do białego, pospolitego Maćka zupełnie. Zresztą i miejscowość wskazywała, że to może być czarny bocian, który jest mieszkańcem puszcz *par excellence*. Dziób i nogi ciemno-wiśniowe, pierze białe na piersi i brzuchu, przechodzące na grzbiecie w czarny, aż stalowy kolor, robią z niego pięknego ptaka, w całem znaczeniu tego słowa.

Byłem uszczęśliwiony moim łupem, ale na razie rzeczywiście nie wiedziałem, co z nim począć. Chcąc go kazać wypchać, nie mogłem go troczyć do ładownicy, bo to pogniotłoby mu pióra; nieść go zaś w ręku, znaczyło to zrenonsować z dalszego polowania. Ułożyłem go więc na poprzecznych gałęziach jodły i zapamiętawszy dobrze położenie i miejscowość, żeby do nich trafić, ruszyłem dalej, trzymając się ciągle brzegu lasu.

Widocznie nadobna Dyana łaskawem na mnie patrzyła okiem, bo nie uszedłem dwustu kroków, kiedy zobaczyłem psa, stojącego pośród drobnych krzaków na brzegu łąki. To już nie bocian, bo widziałbym go zdaleka, ale co to być może? — myślałem, spiesząc z bijącem sercem do wyciągniętego, jak struna, Black'a. Ptak musiał siedzieć twardo, bo pies trzymał nos spuszczony prawie pionowo ku ziemi. Trąciłem go lekko nogą, budząc go z zachwytu, i pies rzucił się naprzód łapami, jakgdyby chciał nakryć uciekającą mysz. Zaszumiało w trawie, załopotało i z pod samego nosa psa wyrwał się stary, zleniały cietrzew, wzlatując w górę, jak świeca. Black sunął za nim w górę, ale go już nie dosięgnął. Nie mogłem chybić, mając ptaka na 10 kroków na czystem miejscu. Spadł, jak kamień, pomimo, że śrót miałem drobny, bekasi.

Nie był to cietrzew tak piękny, jak kosacze na tokowisku, ale wypierzony już był zupełnie, z wygiętemi w lirę piórami w ogonie. Nad oczami, jak dwie smugi krwi, czerwieniły się korale w formie półksiężyca. Ucieszył mnie ten strzał więcej, niż zabicie pół tuzina młodych cietrzewi, bo wolę zawsze jedną a dobrą sztukę, do której strzał długo pozostaje w pamięci.

Przytroczyłem swój łup do ładownicy i nabijałem wystrzeloną lufę, kiedy zobaczyłem podchodzącego mego towarzysza. Słysząc strzały, przypuszczał, że trafiłem na stadko cietrzewi, i przychodził brać udział w poszukiwaniu. Znalazło się zresztą niedaleko i stadko, z którego zabiliśmy pięć sztuk młodych, ale zupełnie już wypierzonych ciecieruków, t. zw. „farbowików“.

(*Dok. nast.*).

Wszelkiego rodzaju bronie są tu w użyciu, poczynając od dawnych strzelb trapperskich, a kończąc na hammerlessach Greenera. Śrót, używany do tych polowań, powinien odpowiadać francuzkiemu Nr. 0, proch zaś jest miejscowej fabrykacyi, marki *F. F. F.*, czarny, połyskujący, średnio-ziarnisty i wogóle bardzo dobry, o ile go się trzyma w miejscu suchem.

Jak dotychczas nie zrobiono nic, ażeby ciągnąć korzyści dla przemysłu z tej wielkiej obfitości zwierzyny, jaką my tu posiadamy. Zaledwie zbiera się nieco pierza i trochę *puchu żywego**). Mięso zabitych ptaków konsumuje się na miejscu, lub rzuca na stracenie**). Nie przedsiębrano też żadnych środków ochrony tych użytecznych ptaków; dopiero od dwóch lat zaczęto coś w tym kierunku robić. A jednak żaden ze znanych mi ptaków nie znosi łatwiej sąsiedztwa i opieki człowieka. Wieleż to razy chowałem młode miękkopióry na moim statku, lub w moich obozach (*loghouse*): nigdy nie widziałem ptaków bardziej łaskawych i bardziej dowierzających, a nawet młode mewy ustępują pod tym względem miękkopiórom. I dlatego nie mogę zgodzić się na zdanie Brehma, który uważa miękkopióra za niezdolnego do znoszenia domestykacyi. Nie mogłem tylko sprawdzić, czy ptaki te w stanie udomowienia giną podczas pierzenia się, jak to twierdzi ten znakomity przyrodnik.

Możnaby przypuszczać, że miękkopiór północny i miękkopiór wspaniały również dałyby się udomowić, lecz twierdzić tego napewno nie mogę, gdyż obserwowałem je tylko w zimie, na polach lodowych, zatem bardzo niedokładnie. Jedynie sprawdzić mogłem, że gatunek ich skóry, pierza i puchu w niczem nie ustępują miękkopiórowym.

W ptaku tym wszystko daje się zużytkować, a niektóre części jego organizmu dochodzą cen bardzo wysokich. Mięso jego posiada smak znośny, mimo, że nie wszyscy są tego zdania. Mieszkańcy pobrzeża przechowują je w stanie solonym przez zimę. Pierze jego zewnętrzne, pokrywające drogocenny puch, nadaje się znakomicie do poduszek. Znane są też niepospolite zalety jegu puchu, czyli *edredonu;* wreszcie jego skóra, wyprawiona na biało, sprzedaje się na wagę złota w Azyi środkowej, osobliwie w Chinach.

Pierze, używane na poduszki, najwięcej są cenione z wiosny. W tej porze sześć sztuk wystarcza, aby dać funt pierzy, gdy na jesieni potrzeba ich siedm. Nie jest to bynajmniej rzeczą łatwą oskubać sześć lub siedm miękkopiórów. Operacya ta wymaga całego dnia pracy dla jednego człowieka i bardzo silnych palców. W tym celu, jeśli myśliwy chce tylko otrzymać same pierze, przynosi do swego obozu całodzienną zdobycz, rozpala ogień w piecyku, a blachę jego skrapia wodą, aby wystawić kaczki na działanie pary, która osłabia pióra w swych osadach i ułatwia tym sposobem skubanie. Tak więc zamiast sześciu lub siedmiu kaczek, myśliwy może oskubać dwadzieścia w ciągu jednego dnia. Pozostaje tylko wtedy wysuszyć pióra w umiarkowanem cieple, zawieszając je w worku w bliskości rury kominowej.

Nie wszystek „puch żywy“ pochodzi z gniazd. Jeśli zaraz po zabiciu oskubiemy puch, otrzymujemy produkt, posiadający wszystkie zalety „puchu żywego“. W dwie godziny potem już zachodzą pewne zmiany w budowie puchu, a w dwadzieścia cztery godziny różnice są już tak wybitne, że niepodobna byłoby zmieszać obu produktów, aby najmniej nawet wprawny nie poznał się na tem.

„Puch żywy“ pochodzi jedynie z samicy, która wyściela nim lekko dno gniazda w chwili rozpoczęcia niesienia jaj. Skoro nadejdzie chwila wysiadywania, wypełnia nim gniazdo więcej, aby puchem okrywać jaja, gdy je chwilowo opuszcza. To jednak robi tylko przy pierwszem niesieniu się. Jeśli zmuszoną jest nieść się i wysiadywać powtórnie, składa już w gnieździe nieznaczną tylko ilość puchu; przy trzeciem zaś niesieniu, nieraz można widzieć jaja, leżące na gołej ziemi, bez szczypty puchu. Nie potrzebuję dodawać, że mowa tu tylko o miękkopiórach, żyjących na wolności, w stanie zupełnie dzikim. Puch ten jest zawsze powalany wydzielinami samicy i przemieszany ze źdźbłami roślinnemi, które go znacznie obciążają i wymagają żmudnej pracy przy oczyszczeniu. Jeśli dwanaście lub czternaście gniazd daje funt puchu, to po oczyszczeniu go z ciał postronnych odpadnie nam przynajmniej 50, a nawet 60% jego wagi.

Kolor „puchu żywego“ zmienny jest względnie do wieku samicy i bywa żelazisto-szary, lub szaro-brunatny. Samiec posiada puch koloru białego na grzbiecie i blado-szarego na spodzie ciała. Łatwo jest też po kolorze rozróżnić puch, pochodzący od samca lub od samicy, tak różnica między niemi jest wybitną.

Dzięki też temu nie trudno jest poznać się, jeśli do „puchu żywego“, pochodzącego z samicy, domieszano puch samca, zebrany zaraz po jego zabiciu.

Zdarzają się też niekiedy między miękkopiórami wypadki albinizmu. Ja sam zabiłem w 1889 r. samca całkowicie kremowo-białego, a wiem, że kilka innych podobnych osobników było zabitych przez innych myśliwych.

Oprócz wspomnianych powyżej gatunków miękkopióra, istnieją jeszcze dwa inne, przyjęte przez ornitologów amerykańskich, a mianowicie: miękkopiór Stellera, zamieszkujący wyspy Aleuckie i północne pobrzeża Alaszki, a którego jeden tylko okaz zabity został w zatoce Ś-go Wawrzyńca, i miękkopiór w okularach (*spectacled eider*), albo miękkopiór Fischera, który zdaje się być tylko odmianą poprzedniego.

*) *Żywym puchem* nazywa się ten puch, którym miękkopiór wyściela swe gniazdo *(przyp. tłom.)*.

**) Mięso to zresztą posiada smak wstrętny, według opinii Brehma *(przyp. tłom.)*.

Polowanie na ptactwo wodne w Hiszpanii.

(*Dokończenie*).

Skoro tylko teren jest podzielony i wodą zalany, zostaje pod opieką stróżów polowych, którzy go doskonale ochraniają. Komisya, złożona z myśliwych i delegatów władz municypalnych, ustanawia zawczasu datę pierwszego i drugiego dnia polowania; następne odbywają się zawsze w sobotę, a przez czas między jednem a drugiem polowaniem, na stawach panuje najzupełniejszy spokój.

Każda rada municypalna rezerwuje dla siebie jedno stanowisko, zwykle położone w samym środku terenu, raz dlatego, aby też skorzystać z polowania, a powtóre, aby dawać sygnał rozpoczęcia strzelaniny.

W oznaczonym dniu myśliwi udają się na swoje stanowiska pomiędzy 2 a 4 godziną rano, zaopatrzeni w kaczki korkowe, malowane, które mają służyć za zanętę i ściągać przelatujące kaczki. Najlepsza chwila do strzelania jest wtedy, kiedy ptaki zapadają na wodę.

Myśliwi, zajmujący stanowiska w jednym miocie, nie mogą swemi strzałami dosięgnąć swych sąsiadów z drugiego miotu, gdyż śrót dochodzi już tam tak osłabiony, że ranić nie może; to też strzelcy mogą przed siebie i po za siebie strzelać bez żadnej obawy. Jedyne niebezpieczeństwo jest skaleczenia swych najbliższych sąsiadów, gdyż każde stanowisko zajmuje nie więcej nad 50 metrów; łatwo więc jest postrzelić kogoś, jeśli który myśliwy, widząc przeciągające ptaki, strzeliłby po linii.

Skoro myśliwy zajął swe stanowisko, ustawił swoje strzelby i rozłożył amunicyę oraz żywność, okrycia i płaszcz nieprzemakalny, niezbędny na wypadek niepogody, przewodnik kryje, się jak może naj-

staranniej, i wszyscy oczekują trąbki sygnałowej. Jeśliby myśliwy strzelił przed sygnałem, podlega wysokiej karze pieniężnej, a nadto zmuszony jest opuścić swe stanowisko i zrzec się polowania w tym sezonie. Wskutek tak surowych kar, nie zdarzyło mi się słyszeć nigdy, aby ten przepis został naruszony.

Przeciąg czasu od zajęcia stanowiska do sygnału, ma w sobie urok nieopisany: myśliwy widzi przeciągające nad swą głową, tysiące i tysiące ptaków, zapadających na wodę, nieświadomych niebezpieczeństwa, jakie je tu czeka po fatalnym sygnale. I w samej rzeczy, ponieważ cały teren jest zajęty przez myśliwych, więc biedne ptaki nie mogą uniknąć śmierci, która na każdym kroku czyha na nie.

Od chwili dania sygnału, to jest od świtu, myśliwi mogą strzelać, wiele zechcą, aż do godziny 12-ej lub 1-ej po południu, z warunkiem jednak, aby żaden nie ruszał się ze swego stanowiska. Nowy sygnał daje znać, że polowanie na ten dzień się skończyło. Jest to chwila zebrania zabitych sztuk i dobicia postrzałków. Powyższy przepis został prawdopodobnie ustanowiony dlatego, aby uniknąć wypadków postrzelenia, które musowo zdarzaćby się mogły, gdyby myśliwi przed czasem opuszczali swe stanowiska.

Granice miotów są oznaczone trzcinami, wetkniętemi w dno stawu. Znaki te wznoszą się na 1 metr ponad powierzchnią wody. Wszystkie sztuki zabite lub ranione w obrębie miotu danego myśliwego, należą z prawa do niego.

Na pierwszy sygnał trąbki, strzelanina rozpoczyna się w sposób imponujacy i trwa prawie bez przerwy do samego końca. Prawo wstępu mają tylko dzierżawcy stanowisk. Psów nie wolno przywozić z sobą.

Ptactwo wodne jest wogóle bardzo twarde; zwykle pokrywa je rodzaj puchu, stanowiący silną zaporę dla śrótu. Przytem ma lot bardzo szybki i strzelec często zostaje ze strzałem w tyle. Dobrze jest też wiedzieć, że jeśli strzela się w $^3/_4$ do odlatującego ptaka, sztuka może paść, lecz daleko od stanowiska. Nic więc dziwnego, że traci się masę ładunków na próżno. Nadto trudno jest ocenić dystans, i większość myśliwych strzela na zbyt wielkie odległości. Dla tych wszystkich powodów należy mieć broń i proch wyborowego gatunku.

Gdy sygnał na zbieranie zabitych sztuk jest dany, prawie wszyscy myśliwi zostają na swych stanowiskach i mogą strzelać póty, póki im się podoba. Zależy to także od tego, czy stanowisko jest dobre lub nie. Zwykle zbieraniem zabitych sztuk zajmuje się jeden lub dwóch myśliwych.

Pierwszego dnia zabija się przeważnie uhle *(Oidemia)* *), następnych zaś—kaczki właściwe. Na niektórych stanowiskach czterech myśliwych było w stanie zabić 410 sztuk.

TĘPIENIE WILKÓW.

(*Dalszy ciąg*).

Warszawa, *10 grudnia 1903 r.*

Jako jeden ze starej generacyi myśliwych, którzy w życiu niejednokrotnie spotykali się z wilkami i uczestniczyli w urządzanych na tych szkodników, polowaniach, komunikuję tu parę uwag, ku pożytkowi współtowarzyszów z pod sztandaru Ś-go Huberta, a uwagi te wobec zjawienia się wilków nad Bugiem, niejednemu z myśliwych przydać się mogą.

*) Kaczka ta należy u nas do rzadkości. Jako należąca do grupy kaczek nurkowatych (*Fuligulinae*), nie musi się ona odznaczać nadzwyczajnym smakiem. (*Przyp. tłóm.*).

Wilk — to drapieżca — tchórz. Z rannym brzaskiem, zaszywa się w gąszcze leśne i tam spoczywa, by z zapadnięciem zmroku rozpocząć łowy. Rzadko bardzo po raz wtóry wraca na to samo legowisko, przenosząc się z miejsca na miejsce. W lecie zawsze chodzi w pojedynkę i dopiero w listopadzie i grudniu, gdy trudniej o zdobycz z powodu zamknięcia inwentarza w oborach i stajniach, łączy się wilk w gromady, urządzając formalne obławy na leśną zwierzynę. W drugiej połowie stycznia do połowy lutego—zaczyna się cieczka samic — i wtedy są one groźne i dla ludzi, napadają niejednokrotnie na pomniejsze wioski i osady, zmieniając legowiska nawet w dzień.

Przy urządzeniu polowań na wilki, zachować trzeba większą niemal ostrożność, niż na dziki lub jelenie. Wilk ma słuch i węch, delikatniejszy od każdej innej zwierzyny.

W miejscowościach, gdzie wilki się pokazały, należy dać polecenie straży leśnej, by rewiry obchodzone były najmniej przez dwóch ludzi — nigdy pojedyńczo. Obecnie z powodu braku śniegu — trudniej tropić i otropić wilka, przy zdwojonej jednak uwadze i trosze umiejętności, można tego dokonać.

Otóż przy obchodzie rewiru, gajowi baczną zwracać powinni uwagę na kierunek tropu, w razie dostrzeżenia,—jak można najdalej obejść daną knieję, by sprawdzić, czy wyszły wilki, czy też zalegały. W ostatnim razie jeden z gajowych powinien pozostać w umówionem miejscu, zachować się jaknajciszej, drugi zaś — dać znać do leśniczego, dziedzica, lub swej najbliższej zwierzchności o zebranie myśliwskiej drużyny i naganki.

Myśliwi, dojeżdżając do lasu, powinni ładunki pokłaść we flinty, gdyż trzask charakterystyczny, przy zamykaniu strzelb odtylcowych, rozchodzi się ze stanowisk w lesie bardzo daleko i ostrzega zwierzynę. Samo się przez się rozumie, że mowy być nie może o paleniu papierosa, chyba, że który z myśliwych troszkę tchórzem podszyty i boi się burego.

Do naganki używać tylko dorosłych ludzi, chłopcom bowiem trudno zamknąć usta, pomimo najsurowszych zakazów. Knieję, w której wilki otropiono, zamknąć, jak można najściślej. Stanowiska powinny być blizkie bardzo, aby z kilku przynajmniej na raz strzelać można było. To samo da się powiedzieć i o nagance.

Do ruszenia naganki nie używać żadnych sygnałów, lecz mieć pod ręką człowieka, którego po rozstawieniu myśliwych pchnąć do naganki, by ruszyła.

Wilki, raz ruszone, idą bardzo daleko, czasem mil parę, więc na jedną i tę samą gromadę, w jednym dniu zakładać niepodobna, bez uprzedniego otropienia.

Nadmieniam tu jeszcze, iż wszelkie obchody i tropienie kniei, dokonywać się winno bez psów.

Przy zachowaniu tych warunków, każde polowanie uda się z pewnością; sam tego doświadczyłem, gdy lat temu parę dziesiątków po obszernych lasach dawnej puszczy kozienickiej ze starym gajowym, a dobrym myśliwym, Pogibą, uczyłem się sztuki łowiectwa, tropiąc wilki i czyniąc na nie nocne nawet wycieczki.

H. Stachowicz.

Warzawa, *w grudniu 1903 r.*

Ze względu na umieszczony w N-rze 340 „Kuryera Warszawskiego", przedruk z „Łowca Polskiego" o pladze, wyrządzonej przez wilki, i stosownie do prośby jednego z myśliwych o radę, jak sobie poczynać należy, aby z powodzeniem walkę temu drapieżnikowi wypowiedzieć, chociaż nie weteran, ale jako zawołany myśliwy i wiele razy polujący na wilki w gubernii Pskowskiej i Witebskiej, kilka rad i uwag komunikuję.

Przedewszystkiem, urządzający obławę, a właściwie kierujący obławą, ma zadanie bardzo trudne, bo wilk o ile jest zuchwały, o tyle jest podejrzliwy, ostrożny i tchórz, a przeto powinien znać mniej więcej naturę wilka. Obecna pora nie jest stosowna do polowania na wilki z obławą; albo trzeba polować wcześnie, t. j. we wrześniu, kiedy młode wilki pilnują się gniazda (legowiska), lub w blizkości tej miejscowości przebywają, albo polować, kiedy śnieg wypadnie. Po czarnym tropie (mówię tu o polowaniu wrześnio-

wem i na początku października), jeżeli się nie wie dokładnie, gdzie są wilki, posyła się człowieka po zachodzie słońca do miejscowości, sąsiadujących z wilkami, dla sprawdzenia przez udane wycie, czy się znajdują. Po umiejętnie udanem wyciu młode wilki najróżnorodniejszemi tonami zaczną się odzywać, a więc na drugi dzień rano obława powinna być rozstawiona półkolem dosyć gęsto, bo młody wilk bardzo często w krzaku leży, jak usłyszy ze wszystkich stron wrzawę i strzelanie, i bardzo łatwo go przejść. Dodać tutaj należy, że w tym czasie, chociaż cisza ze strony obławy przy rozstawianiu i zakładaniu nie zaszkodzi, ale nie jest tak wymaganą, jak po śniegu; myśliwi zaś powinni stać najdalej na 40 kroków. W ten sposób strzelaliśmy młode wilki i prawie całe gniazdo było wybite, nigdy jednak starego nie udało się zabić.

W późnej jesieni już wilk nie trzyma się jednej miejscowości, lecz włóczy się, robiąc nie do uwierzenia duże przestrzenie, i ze względu na to, że inwentarz mało znajduje się w polu w późnej jesieni, więc wilk trzyma się w pobliżu wiosek w nocy, a nad ranem już jest o jakie 10 wiorst w spokojnem miejscu. W tej więc porze polowanie z obławą jest to ryzyko. W Rosyi polują z ogarami, czyli wyganiają z kniei, obstawionej dojeżdżaczami ze sforami chartów, i to bardzo często robią przestrzeń po 20 do 30 wiorst i nie znajdują ani śladu wilka, pomimo tego, iż poprzedniego dnia były w tej miejscowości. Dalej następuje polowanie po śniegu, najmilsze, najpiękniejsze i najwięcej mające uroku, wtedy, kiedy wilk zaczyna cierpieć głód, bo w polu niema ani baranów, ani bydła. Przy umiejętnem kierowaniu polowania po pierwszym śniegu rezultat bywa zawsze dobry. Byłem na polowaniu w Witebskiej gub., w okolicy Prychab; cała włość-gmina była spędzona, wilków było ze 40, kilka koni zajadły w przeciągu tygodnia we wsi Narotowie, czas był piękny, śnieg nieduży i pomimo wszelkich wysiłków, ani jednego wilka nie zabito, bo nieumiejętnie pokierowano obławą, a właściwi wilczarze, jak na złość byli chorzy.

Po śniegu wiele jest sposobów do polowania, z których cztery próbowałem w swojem życiu, a mianowicie: jazda z prosiakiem, z obławą, w sieci i trucie. Najpomyślniejsze polowanie miałem z sieciami i trutką. Do polowania w sieci to tylko mogą być zdolni tacy pskowscy włościanie, którzy od młodych lat to uprawiają, ale jest to polowanie, i zabawne, i komiczne, i wesołe. W lesie, należącym do wsi Szejkino, pskowskiej gub., włościanie w sieci jednego dnia z 13-tu wilków wpędzili 11 i zabili je, więc rezultat dobry. Jazda z prosiakiem żadnych rezultatów nie daje, mogę więc powiedzieć, że to legendy o tych jazdach z prosiakiem, chyba, że może w stepach. Trucie dawało dobry rezultat w następujący sposób: bierze się zabitego psa, zdejmuje się skórę i całe mięso szpikuje się strychniną, później naciąga się skórę z powrotem (można skórę i nie ściągać, ale to sposób mniej udatny) i kładzie tego na noc do nawozu końskiego, żeby zmacerował. Wszelkie czynności ze strychniną robi się w rękawiczkach i z wielką ostrożnością. Na drugi dzień rano wyjmuje się psa z nawozu, kiedy już strychnina wskutek parowania rozeszła się po całym psie, i kładzie go się na mrozie, aby zesztywniał, a później wiezie się go do lasu lub w miejsce, przez które lubią przechodzić wilki. W ten sposób jednej nocy trzy otruły się, a dwa na wiosnę postuchy znaleźli.

Dla danej miejscowości, o której pisze „Łowiec Polski“, radziłbym następujący sposób, najpraktyczniejszy, najłatwiejszy i niezawodny. W obecnym czasie nie radzę urządzać w tej miejscowości, gdzie są wilki, a przynajmniej, gdzie lubią przebywać, żadnego polowania, bo teraz, jak już powiedziałem, nie zatrzymują się długo na jednem miejscu. Trzeba w to miejsce wywieźć konia zabitego i obdartego ze skóry; wilki bardzo prędko, jeżeli są w okolicy, znajdą tego konia i, rozumie się, zjedzą go, wówczas należy postąpić tak: człowiek powinien bardzo rano o świcie sprawdzać, czy koń zjedzony; jeżeli koń zjedzony, porozrywany, a poznać łatwo i rozprawę wilczą i łapy jego, więc w tej chwili powinien zrobić obkład, czyli powinien obejść to miejsce, dokąd udały się wilki; jeżeli wyjścia z tej miejscowości niema, to znaczy, że wilki są tam i leżą; bardzo powinien zwracać uwagę na ślad, bo niedoświadczony myśliwy, jak zobaczy jeden ślad, to myśli, że jeden wyszedł, a reszta pozostała, a tymczasem wilk chytry jeden za drugim idzie ślad w ślad i całe stado ich przejdzie, a zdaje się, że tylko jeden przeszedł. Po pierwszym śniegu to zwykle mniej tego porządku trzymają się, ale po późniejszym śniegu to są mistrze. Po dokładnem zbadaniu miejscowości, gdzie są wilki, w tej chwili powinien człowiek wracać i obława powinna być na pogotowiu. Zwykle wilk do południa leży, koło godz. 1-ej po południu zaczyna się niepokoić i rusza; po najedzeniu się leżą, jak martwe, do godz. 1-szej i ostrożnie obstawiona obława wszystkie wystawi na strzał; wówczas one z tego snu i objedzenia się kompletnie ogłupieją, ucieka każdy, gdzie może. Przy obkładaniu broń Boże, za śladem wprost chodzić, bo wszystko może zepsuć, a tylko trzeba zygzakiem, czyli półkola robić ciągle, i to duże bardzo. Można robić polowanie i bez konia, bo, jak już powiedziałem, wilk do południa leży, ale na to trzeba więcej doświadczonych myśliwych w tem polowaniu. Nie widziałem, nie słyszałem i nie czytałem tego, żeby byli tacy mistrze, kiedy i gdzie, jak są włościanie pskowscy co do urządzenia polowania na wilki i lisa; wprost wierzyć się nie chce. Wogóle te polowania są trudne i ciężkie, i trzeba być rzeczywiście myśliwym prawdziwym, żeby im się oddawać.

Czem chata bogata, tem i rada.

J. Kowalewski.

(*Dok. nast.*).

Wycieczka na Syberyę.

Jako nadleśny w dobrach Piszczowskich, należących do hr. Józefa Potockiego, zarządzam również wielkim zwierzyńcem „Pilawin“, założonym przez Hrabiego temu lat kilka w tym, najbardziej na północ wysuniętym kluczu z rozległych włości Wołyńskich hr. Józefa Potockiego. Nazwisko mego pracodawcy zanadto jest znanem w szerokich kołach myśliwych i podróżników, bym potrzebował przypominać śmiałe jego wyprawy na Wschód daleki i do mało znanych krain Czarnego Kontynentu; zamiłowanie do przyrody, łowiectwa i hodowli szlachetnej zwierzyny nasunęło hr. Potockiemu myśl założenia w naszym kraju na wzór słynnego parku księcia Bedford w Anglii, zwierzyńca na wielką skalę, w którymby mieściły się oprócz okazów rzadkiej fauny naszego kraju, również egzemplarze egzotycznej zwierzyny z obcych kontynentów. Łosi dostarczyła Litwa i północne gubernie Cesarstwa; za pośrednictwem światowej firmy Hagenbecka w Hamburgu, sprowadzone zostały z Ameryki pyszne jelenie kanadyjskie „Wapiti“ *(Cervus canadensis Wapiti)*, a ja otrzymałem od hr. Potockiego polecenie nawiązania stosunków z Syberyą, celem dostania ztamtąd ciekawych okazów wspaniałego jelenia „Maral“ i mało znanej sarny syberyjskiej *(Pygargus uralensis)*.

Z wiosną 1903 r. wskutek ogłoszeń w rossyjskich pismach łowieckich, otrzymałem z Syberyi z Irkuckiej i Jenisejskiej guberni liczne oferty sprzedaży rozmaitej żywej zwierzyny tamtejszej, jak łosi, niedźwiedzi, jeleni, sarn, a nawet burych i czarnych lisów oraz soboli. Zawiązałem korespondencyę i niebawem otrzymałem obszerne odpowiedzi i relacye, które zakomunikowałem bezzwłocznie hr. Potockiemu do decyzyi. W sierpniu otrzymałem polecenie podjęcia samemu wyprawy na Syberyę, celem nabycia dla „Pilawina“ jeleni Altajskich *(Cervus canadensis asiaticus, vel Cervus maral)* i sarn syberyjskich.

Radość moja z tego powodu była wielka; oddawna marzyłem o wycieczce do mało znanych i dzikich krajów, a cel łowiecki mej wyprawy dodawał jej niemało powabu i uroku; łatwość komunikacyi wskutek nowo zbudowanych kolei syberyjskich, odejmowała jej cechę uciążliwej i zbyt długiej podróży; mogłem ła-

two obliczyć czas jej trwania i należycie się przygotować.

Uregulowawszy czynności służbowe, wyruszyłem w drogę 15 sierpnia 1903 r. ze stacyi Szepetówka, biorąc bilet wprost do Krasnojarska na Kijów, Woroneż, Tambow i Penzę; wziąłem z sobą jednego z gajowych z lasów Piszczowskich, Bielawskiego, do pomocy przy transporcie zwierzyny.

Od Kijowa krajobraz dla mnie był nowy; spędzałem dnie u okna wagonu, oglądając coraz to nowe widoki, zmieniające się szybko, jak w kalejdoskopie, i nieznane mi okolice: zdala na widnokręgu ciemny pierścień lasów, ponad torem grupy młodników i wszędzie ponura, jednostajna płaszczyzna; wsie rozległe, domy niedbale budowane, smutny wygląd mające, bo niebielone, sadyby bez drzew i ogrodów, bez ogrodzeń, inwentarz żywy, wprawdzie rosły, ale chudy i źle utrzymany—całość ponuro i smutno wygąda.

Trzeciego dnia podróży stanąłem w Penzie i tu wypadło mi całą dobę przesiedzieć, oczekując na „express sybirski", dążący z Moskwy do Irkucka. Użyłem dnia na zwiedzenie miasta gubernialnego, pięknie położonego nad rzekami Penzą i Surą, ładnego parku przy szkole ogrodniczej i dużego ogrodu owocowego; nabyłem tu również aparat fotograficzny. Następnego dnia, t. j. 19-go sierpnia, „Sybirski express" na północny wschód mnie unosił. Towarzystwo w tym, nader wygodnie urządzonym pociągu składało się z 16 osób, z których kilku panów i pań jechało z Ameryki przez Londyn i Moskwę do Tientsin w Chinach, reszta pasażerów do rozmaitych miast Syberyi.

Nazajutrz przejechaliśmy Wołgę pod Syzraniem, dążąc wzdłuż lewego jej brzegu do Samary i tu opuściwszy brzegi tej największej rzeki europejskiej, wjechaliśmy po za Ufą, miastem, malowniczo położonem nad rzeką tej samej nazwy, w jednostajną, płaską okolicę, u której widnokręgu błyszczały w promieniach wschodzącego słońca, ledwo dostrzegalne kontury gór Uralskich. Pociąg nasz począł się nieznacznie wspinać, potem piąć coraz wyżej, dając oku możność napawania się coraz to piękniejszemi widokami przecudnych, dzikich krajobrazów i wspaniałych lasów jodłowych.

Od Czelabińska byliśmy w Azyi! Ztąd zaczyna się właściwa linia kolei syberyjskiej, Ural już jest za nami, przed nami step bezbrzeżny, zarosły wysoką trawą i piołunem, gdzieniegdzie kępy brzóz, pustynia jednostajna bez sadyb i ludzi, ciągnie się aż poza Omsk, o 900 wiorst odległy. Jedynie nad rzekami Tobol, Irtysz i Ob wre życie i koncentruje się handel wymienny między daleką Syberyą a Rosyą europejską.

Nad rzekami osady wyrastają, jak grzyby po deszczu, np. na prawym brzegu Ob, gdzie przed kilku laty dla budowy mostu kolejowego urządzono tymczasowo warsztaty i szałasy dla robotników, dziś powstała osada, mająca kilkaset domów piętrowych, murowanych, kilkanaście tysięcy mieszkańców, telefony, kilka banków, ułatwiających olbrzymie obroty handlowe, hotele i t. p. Osadę tę nazwano Nowonikołajewsk.

Od stacyi Kainska znów zmiana krajobrazu; zamiast stepu, ciemne bory i głuche lasy ciągną się po pod samym torem kolejowym aż do Krasnojarska i hen, aż pod Irkuck; przeważa w nich jodła, cedr i świerk. Na stacyi Ob spotkałem, ku wielkiemu, wzajemnemu zdumieniu, jednego z dawnych moich kolegów-pracowników z dóbr hr. Potockiego, pana Pawłowskiego, byłego leśniczego podwładnego mi rewiru, który, wzięty do służby wojskowej, aż tu ją odbywał, a obecnie znajdował się w pochodzie nad Amur. Zaiste, dziwne spotkanie i losu zrządzenie, aby dwóch ludzi, służących w jednym skarbie, istnym trafem losu zjechało się na małej stacyjce olbrzymiej kolei syberyjskiej; prócz wyrazów pozdrowienia i okrzyku wzajemnego zdumienia, nie było czasu do gawędy; mój express ruszał w dalszą drogę, jego pociąg wojskowy unosił na Wschód najdalszy.

Nareszcie jedenastego dnia podróży stanąłem u jej celu, t. j. w Krasnojarsku, w stolicy gubernii jeniscjskiej; miasto, aczkolwiek niebrukowane, wydało mi się dosyć czyste i porządnie zabudowane, o szerokich ulicach, skwerach, placach i ogrodzie.

Zajechałem do hotelu „Rossya", urządzonego zupełnie po europejsku, z nowożytnym komfortem, tylko ceny w nim bajecznie wysokie; w restauracyi spotkałem rodaka, niejakiego p. Korotkiewicza z Wołynia, pełniącego obowiązki urzędnika sądowego w miejscowym trybunale. P. K. nader uprzejmie się mną zaopiekował, a że nadto łączyły nas wspólne znajomości na Wołyniu, przeszedł mi w jego towarzystwie pierwszy dzień w Krasnojarsku nader swojsko i przyjemnie na zwiedzeniu miasta, spacerze do ogrodu miejskiego i poznaniu kilku osób z polskiego towarzystwa. Różnica zegaru w Krasnojarsku w porównaniu z czasem europejskim, wynosiła 5 godzin.

Nazajutrz, pomny celu, dla którego tu przybyłem, zająłem się odszukaniem człowieka, który mi listownie był zaofiarował zwierzynę na sprzedaż. Posłaniec, którego doń w przeddzień wysłałem, doniósł mi, że go dopiero wieczorem w domu zastanę, i odnalazłem go też istotnie; niestety, okazało się, iż narazie miał tylko jednego jelenia Marala u siebie, resztę zaś, t. j. 3—4 sztuki, oddał na letnią paszę na wieś i przed upływem kilku dni dostawić mi ich nie może; na Syberyi zaś dystanse na setki wiorst liczyć należy, nie mogłem zatem liczyć na szybkie załatwienie interesu; umówiłem się tylko o cenę jelenia, którego miał „na składzie".

Romuald Sokalski.

(*D. c. n.*)

WYPRAWA MYŚLIWSKA
do Mongolii.

(*Ciąg dalszy*).

Po herbacie i zakąsce, złożonej z chłodnego baraniego mięsa, rozeszliśmy się wzdłuż rzeczki, by popolować trochę na gęsi i kaczki. Szczęście nieźle nam posłużyło i wieczorem przyniosłem do obozu jedną gęś i 5 kaczek. Dla próby sztucera strzelałem o kroków 200 do jastrzębia siedzącego i jestem bardzo zadowolony z jego zabicia. Feliks przynosi cztery kaczki i na niemożebną prawie odległość zabitego przez lunetę podorlika. Byłem zdziwiony wogóle ostrożnością tutejszego ptactwa. Jadąc tutaj, wyobrażałem sobie, że kaczki nieledwie kijem bić będzie można, tymczasem ani teraz, ani potem, oprócz wypadkowych, bliższych strzałów, niż na 35 metrów, prawie nic nie mieliśmy. Wogóle polowanie takie, jakieśmy tu mieli, przedstawia dla mnie duży urok nowości, chociaż jest możliwe tylko tam, gdzie, tak jak tu, masa jest ptactwa. Idzie się porosłemi brzegami rzeczki, wypatrując zwierzynę i dojrzawszy, trzeba do niej podchodzić, lub nawet pełzać. Nam prawie nigdy się to nie udaje i wszystko strzelamy w lot, ku wielkiemu zdziwieniu naszych myśliwych, którzy strzału w lot, nie znając śrótówek, dotąd nigdy nie widzieli. Wieczorem świetne pieczyste z kaczek na rożnie i nocleg w postawionym już namiocie.

Pierwsza noc w Mongolii niezbyt uprzejmą dla nas się okazała. Mrozik taki, że z rana na kałużach lód wytrzymywał ciężar człowieka, dał nam się tęgo we znaki. Ja, w moim worku skórzanym, jakoś się nie źle jeszcze czułem, ale Feliks w swoich pledach tęgo

zębami dzwonił. A to wstawanie rano! Brr!, to najnieprzyjemniejsze, jak dotąd, w całej podróży. Pod wpływem zimnej wody, którą co rano się zlewamy, a więcej jeszcze herbaty, odzyskujemy dobre humory, szczególniej, że w perspektywie mamy świetne na ptactwo polowanie. Po niedługim, 10-wiorstowym przejeździe po czystym, odkrytym stepie, przyjeżdżamy do dwóch rzeczek: Szaragoły i Solgontaju, sławnych z ilości swego ptactwa. Losujemy, kto w którą stronę ma iść. Feliksowi wypada Solgontaj, mnie Szaragoła. Biedny Feliks przegrał, bo rzeczka jego płynie w czystym, nieporosłym stepie, moja zaś w zalesionych tarniną i brzózkami brzegach. Polowanie zapowiada się dobrze. Co chwila nad naszem ogniskiem przelatują parki cyranek z przeraźliwym świstem skrzydeł, albo głośno krzycząc, lecą duże, ciężkie krakwy. W oddali słychać gęganie gęsi i krzyk żórawi.

Polowanie udało się nieźle. Feliks kulami, bo do śrótowego strzału przyjść nie mógł, ubił: 4 gęsi i 5 kaczek, a ja zrobiłem 3 dublety do gęsi, dwa strzały kulą do gęsi i kaczki i w rezultacie przyniosłem 8 gęsi, 9 kaczek i jednego cietrzewia, któremu o godz. 3-ej po południu zachciało się tokować. Nieoceniony mój przewodnik, Iwan! Żaden wyżeł tak prędko i zgrabnie zwierzyny nie przynosi, jak on. Doprawdy miałem wyrzuty sumienia, widząc, jak nieraz po zabitą sztukę wyżej pasa brodził w wodzie, z obu brzegów jeszcze lodowe mającej zakrajki. Ale robił to tak wesoło i z takiem widocznem zadowoleniem, że niemniejszą radość sprawiło mu widocznie podnoszenie zwierzyny, jak mnie jej zabijanie. O godz. 5-ej wróciliśmy do taboru, by wypocząć przed długim, jutrzejszym po górach przejazdem. Próbowałem wieczorem szczęścia z wędką, ale nic z tego. Widocznie nie znam gustów tutejszej ryby, bo ma być jej w rzece mnóstwo. No, mamy zapas jedzenia przynajmniej na tydzień; śrótówki idą do futerałów i od jutra zaczynamy poważne polowanie. Z ptactwem na pewien czas bierzemy rozbrat. Czekają nas dziki, niedźwiedzie i jelenie. Zasypiamy pod wrażeniem opowiadań, że tam nad Boguntajem tyle grubego zwierza, ile tu gęsi i kaczek.

Jak wszystko, co dobre, tak i Boguntaj nie łatwo nam się dostał. Pięćdziesiąt wiorst strasznie ciężkiej drogi, z tego przeszło dziesięć przez wysoką górę, mocno naszym kościom dało się uczuć. Z początku jedziemy wzdłuż rzeczki i konie cudów ekwilibrystyki po ogromnych, na metr wysokich kępach, dokazują. Ranek śliczny. Po mroźnej nocy słońce wschodzi, oślepiające rzucając blaski na wszystkie strony i wszędzie budzi życie. Z gór słychać tokowanie cietrzewi, od rzeczki idą głosy najrozmaitszego ptactwa, a przed nami na łące, w odległości pół wiorsty, stadko saren, z pięciu sztuk złożone, pasie się spokojnie. Dziś dzień Feliksa. Dlatego, by nie było sporu, kto ma strzelać, w drodze umówiliśmy się, że jednego dnia jeden z nas będzie jechał ze sztucerem, a drugi ze śrótówką, a na drugi dzień odwrotnie.

Pierwsze sarny! Emocya wielka; tabor zostaje trochę w tyle, a Feliks z za krzaków skrada się do wspaniałego kozła o dużych rogach. Mógł podejść bliżej, ale widocznie emocya pierwszej zwierzyny nie daje mu dobrze ocenić odległości, bo na metrów 400 strzela przez lunetę i sarny w lekkich, zgrabnych susach zmykają na górę.

C. W.

(*D. c. n.*).

Bażantarnia w Zyplach.

Bażantarnia w Zyplach, w gub. suwalskiej, w pow. władysławowskim, u hr. Tomasza Potockiego w ciągu lat ostatnich, mimo niesprzyjających warunków, rozwinęła się w sposób rzeczywiście zadziwiający. Przed 3-a laty sprowadził hr. T. Potocki 70 kur i 10 kogutów żywych, oraz 500 jaj, od angielskiej firmy Mr. *Robb w Liphook*. Pierwszego roku zabitych zostało 129 kogutów; drugiego roku równe 200. Bieżącego roku bażantarnia sprzedała 250 kogutów i 150 kur żywych, na polowaniu zabito 117 kogutów, nadto obecnie już jest złapanych żywych 62 koguty i 207 kur i jeszcze ma się złapać około 200 kur. Bażanty te na początku wiosny będą wypuszczone, przez co uniknie się poważnych strat, które zawsze w ciągu zimy mają miejsce. W każdym razie trzeci rok dał w ten sposób 429 kogutów. Ilość ta zapewne stanowić będzie na przyszłość stały roczny rezultat polowania.

Ponieważ równocześnie w tymże majątku na przestrzeni 150 morgów założoną została druga bażantarnia na dziko bez hodowli swojskiej, ale z wszelkiemi zastrzeżeniami umiejętnej opieki, powinny obie bażantarnie dawać co roku na rozkładzie do 600 kogutów. Zdaje się, że jestto pierwszy w kraju, tak szybko osiągnięty wynik większej aklimatyzacyi bażantów. Do zaznaczenia jest mianowicie fakt, że r. b. podłożonych było 1,000 własnych jaj, z których wylęgło się tylko 658, a wychowało się do października 606 bażantów. Zatem rezultat osiągnięty złapanych i zabitych 420 kogutów oraz 457 kur, przypisać należy także coraz więcej rozwijającej się hodowli na dziko i to właśnie w roku najgorszym, jaki tylko można sobie wyobrazić. Jest to dowodem, że bażant najłatwiej daje się przyswoić do niekorzystnych warunków, bo równocześnie mimo usilnych starań, stan kuropatw mało się poprawił, a zające i sarny w ogromnej ilości wyginęły na motylicę, w ciągu ostatnich dwóch lat. Dwa lata temu, w tym kraju, gdzie nic zwierzyny nie było, zabito na polowaniu w Zyplach 297 zajęcy, obecnie prawie ich niema.

Wracając jeszcze do opisu bażantarni w Zyplach, dodać musimy, że mało gdzie znaleźć można tyle urządzeń sztucznych, ułatwiających bażantom schronienie, pożywienie, i utrzymujących je na małej stosunkowo przestrzeni. Wszędzie znajdują się maliny, jerzyny amerykańskie i poziomki w ogromnej ilości. Na liniach posadzone róże, śnieguliczki, grusze skalne (*botryapium*) i jarzębina. W środku bażantarni ze wszystkich stron rozsiane małe, co roku nawożone poletka z kukurydzą, konopiami, słonecznikami, prosem, oraz różnemi gatunkami zbóż i okopowych, wszystkie halizny zasadzone świerkami i wierzbą koszykarską, prócz miejsc słonecznych dla kąpieli piaskowej. Dookoła bażantarni w odległości paruset kroków, mnóstwo małych remiz (+ 50 prętów), każda z sadzawką w środku, wszystkie drogi i łąki, na których przy koszeniu tyle ginie bażantów, obsadzone pasem 1—2 prętowym z świerków i olszyny. Linie zaś same do strzelania z obu stron na metr wysoko strzyżone, mają od góry 30 metrów szerokości dla strzału, przez co bażanty wprawdzie swobodnie mogą się wznosić i latają wysoko, ale łatwe są do poznania, oraz do strzelania. Wzdłuż zaś założone linie na 5 metrów szerokie, gdzie się bażanty karmi na całej długości (200 do 400 metrów), przez co zewsząd mogą się schodzić. Nadto od tych linij wychodzą prostopadłe ścieżki do krytych szop, gdzie w większej ilości także sypie się zboże oraz kukurydzę w całych kolbach. Wzdłuż linii koziołki z daszkami do niemłoconego zboża. W około wszystkich gąszczów obiegają ścieżki, gdzie co kilkadziesiąt kroków znajdują się wszelkiego rodzaju żelaza i pułapki, od świtu do zachodu codzień zamykane, po remizach i na miejscach odkrytych słupki z żelazami na jastrzębie, w strzyżonych świerkach klatki z gołębiami z żelazem na wierzchu. W takich warunkach bażant może się rozwijać swobodnie i mniej się rozchodzi. Zachodu i kosztu dużo, ale i przyjemności wiele.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 13 stycznia. Rada otrzymała skargę dzierżawców polowania pod Zgierzem, że na ich polach uprawia jawnie kłusownictwo jeden z dróżników nowej kolei kaliskiej, nie posiadający naturalnie ani biletu na broń, ani na prawo polowania. Postanowiono odnieść się do naczelnika żandarmeryi kolejowej z prośbą o ukrócenie tego nadużycia.

Wobec projektów Wydziału Ochrony i Polowań, wzięcia w dzierżawę polowania na dobrach Miednik, oraz kupna żywych zajęcy dla puszczenia w dobrach Osieckich, Rada postanowiła zwołać Ogólne Zebranie nadzwyczajne na dzień 27 stycznia, na którem sprawy powyższe zdecydowane zostaną. Kwestya kupna zajęcy zresztą będzie tylko podana do wiadomości, Wydział bowiem nie mogąc zwlekać w tej mierze, zające zamówił u Gudery w Wiedniu w ilości 150 samic, z których część już jest w drodze do Warszawy.

P. gubernator warszawski zawiadomił Radę, że polecił wydać bilet na broń zagranicznemu poddanemu, p. Janellemu, łowczemu Oddziału. Nadto p. gubernator polecił wydać bezpłatny bilet na broń stróżowi przy miejscu Ochronnem w Cybulowie.

Na kapitał zasobowy odliczono 1,700 rb.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

Dnia 9, 10 i 11 grudnia r. z. odbyło się polowanie w dobrach księcia Stanisława Lubomirskiego, Równo. Polowano w d. 9-ym na bażanty i zabito 97 kogutów, w d. 10 w lesie zabito: 86 zajęcy, 5 sów i 1 orła, w d. 11 na bażanty (parę godzin) i zabito: 49 kogutów. Razem zabito 156 bażantów, 85 zajęcy, 5 sów i orła, czyli z przeszukaniem 248 sztuk. Nadmienić należy, że do kur bażancich nie strzelano.

Przeczytawszy w „Łowcu Polskim" sprawozdanie z Antonin o złapaniu żywego orła, donoszę o analogicznym wypadku, a mianowicie w d. 10-ym, podczas polowania w lesie, naganka z miotu wyniosła żywego i zupełnie zdrowego, dużego orła (orzeł łomignat), którego gajowy, idąc z naganką, zobaczył siedzącego na pniu ściętego drzewa. Ostrożnie zaczął się zbliżać, lecz mimo, że był widzianym przez orła, który żadnej ochoty do ucieczki nie miał, podszedł go i wziął rękami bez żadnego oporu. Życie temu szkodnikowi ocalił jeden z myśliwych, który prosił o pozwolenie wzięcia go do domu, co się też stało. Orzeł dotychczas żyje i dobrze się ma, chodzi po pokojach swobodnie, nie zdradzając chęci ucieczki, daje się oswajać. Tego roku jest to trzeci orzeł w tej miejscowości z tego gatunku, z których dwa zostały zabite przez straż leśną.

Leśniczy.

Na polowaniu, odbytem w d. 13 grudnia r. z. w rewirze Wierzbowieckim, należącym do dóbr Szepetowskich Józefa hr. Potockiego na Wołyniu, w którem brali przeważnie udział Członkowie Sławuckiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Racyonalnego polowania, mającego siedzibę w Szepetówce, w 16 strzelb zabito: 3 lisy, 10 kozłów i 100 zajęcy. Rezultat taki, jak na tutejsze strony, można nazwać świetnym, a zawdzięczyć go należy miejscowemu leśniczemu, p. Zygmuntowi Maczewskiemu, który już to troskliwą starannością i opieką o zwierzynę, już umiejętnem prowadzeniem polowania, przyczynił się do tak pomyślnego rezultatu. Królem polowania był p. Jan Janiewicz, sekretarz głównego zarządu dóbr Antonińskich, który miał na rozkładzie lisa, kozła i 17 zajęcy. Po odbytem polowaniu Członkowie Oddziału z prezesem swoim, pułkownikiem M. Widowskim na czele, omawiali sprawy, dotyczące Sławuckiego Oddziału Racyonalnego polowania, a między innemi tę istną bolączkę tutejszej okolicy, t. j. kwestyę raubszyców, z którymi przy braku poparcia ze strony policyi, rady dać sobie nie można. *Artur S.*

D. 21 grudnia r. z. polowano w 10 strzelb u pana Edwarda Kłossowskiego w Krzemieniewicach i zabito: 79 zajęcy, 11 kuropatw i kozła. Królem był p. Hilary Bronikowski z Mierzyna, mający na rozkładzie 18-cie zajęcy i trzy kuropatwy. W ciągu roku zabito 7 kozłów z podjazdu strzelanych kulą.

D. 22 grudnia r. z. odbyło się polowanie w Dembicach, na Kujawach, u p. Hacka, na którem padło 66 zajęcy, 3 króliki i 8 kuropatw. Królem polowania był pan Edward Busse z Bieleszek.

D. 28 grudnia r. z. w Miedzynie, w gub. piotrkowskiej u p. Hilarego Bronikowskiego zabito w 10 strzelb: 202 zające, 6 kuropatw, cietrzewia i jastrzębia. Królem był p. Andrzej Biesiekierski.

D. 28 grudnia odbyło się polowanie w dobrach Benignowie, w pow. kutnowskim, należących do p. Bolesława Wyganowskiego; zabito: 143 zajęcy i 6 kuropatw. Królem łowów był p. K. Witkowski z Imielnia, który miał na rozkładzie 42 zające.

D. 28 grudnia r. z. odbyło się doroczne polowanie w dobrach Repki, w pow. sokołowskim, u p. Stanisława Doria-Dernałowicza. W ciągu półtora dnia w 12 strzelb zabito: 2 rogacze, 4 lisy, 171 zajęcy i 2 kuropatwy. Królową łowów pierwszego i drugiego dnia była Pelagia hr. Łubieńska, która miała na rozkładzie 28 sztuk.

D. 29 grudnia r. z. odbyło się polowanie w dobrach Bieniewicach, w pow. błońskim, należących do p. Gustawa Gradenwica; w 13 strzelb zabito 69 zajęcy. Królem łowów był p. Włodzimierz Butkiewicz z Helenowa, który miał na rozkładzie 11 sztuk. Za 132 pudła złożono rb. 13 kop. 20 na rzecz Warsz. kasy ogrodników i rolników.

D. 30 grudnia r. z. odbyło się polowanie u p. Ciechowskiego w Kamionnie, w pow. włocławskim. Zabito: 101 zajęcy, 3 bażanty i 4 rogacze.

D. 30 grudnia r. z. w Woli Pękoszewskiej, w pow. błońskim, u p. Antoniego Górskiego odbyło się polowanie w 10 strzelb, w którem przyjmowali udział pp. Henryk Sienkiewicz z synem, Józef Weysenhoff, hr. Zygmunt i Józef Broel-Platerowie, hr. St. Łubieński, Paweł Górski, Ludwik Górski (junior), hr. St. Kosakowski i dr. St. Zaborowski. Zabito: 307 zajęcy, 5 rogaczy, 3 lisy, 8 kuropatw, polując w lesie i zagajnikach. Najwięcej miał na rozkładzie hr. Józef Broel-Plater z Niekłania, a mianowicie 60 sztuk, w tem dublet do kozłów. Hr. Józef Broel-Plater wogóle zalicza się do myśliwych, którym szczęście sprzyja, bowiem w r. z. na polowaniu u p. Chłapowskiego w Poznańskiem był również królem, mając na rozkładzie 120 sztuk, w czem 60 królików. Kto zna strzały do królików, ten rozumie, że, aby zabić 60, trzeba nietylko szczęścia, ale i dużej umiejętności strzelania.

W majątku p. Jana Zaborowskiego, Brody, w pow. stopnickim w d. 30 grudnia odbyło się polowanie, na którem w 10 strzelb zabito 99 zajęcy, lisa i 12 kuropatw. Królem łowów był pan Edward Kłosowski z piotrkowskiego, który miał na rozkładzie 22 sztuki.

W grudniu odbyło się dwudniowe polowanie w Potoczku, w gub radomskiej, u p. Wincentego Grodzickiego,

na którem w 11 strzelb zabito 138 zajęcy, 6 kuropatw i bażanta.

W Kiełpinach, w gub. płockiej, u pp. Gockowskich w d. 31 grudnia zabito w 10 strzelb: 52 zające. Królem był p. Jerzy Siemiątkowski.

W Wąpielsku, w gub. płockiej, u p. Józefa Siemiątkowskiego w d. 2 stycznia zabito w 11 strzelb 58 zajęcy, kuropatwę i lisa, którego w kotle zabił Dr. I. Gurbski; królem był p. Jan Płoski.

W Piórkowie, w gub. płockiej, u p. E. v. Richolda w d. 4 stycznia zabito w 13 strzelb 35 zajęcy, 3 kuropatwy i lisa; królem był p. Józef Siemiątkowski.

D. 4 stycznia w Miłkowie, w gub. siedleckiej, u p. Jana Zaorskiego odbyło się polowanie, na którem zabito 41 zajęcy.

D. 5 stycznia u p. Seweryna Zaorskiego w Glinnym-Stoku, w gub. siedleckiej, odbyło się polowanie, na którem zabito 2 lisy i 28 zajęcy.

D. 4 Stycznia odbyło się polowanie w Sobieniach hr. Jezierskiego, dzierżawionych przez Warsz. Oddział Tow. praw. myśl. W 20 strzelb zabito: 145 zajęcy i kuropatwę. Najwięcej miał na rozkładzie p. Stanisław Zakrzewski—16 zajęcy.

D. 5 stycznia odbyło się polowanie w dobrach Dębiny, w gub. piotrkowskiej. Zabito: 66 zajęcy i 6 kuropatw. Królem polowania był p. Wincenty Mrowiński.

W dobrach Kotowice, w gub. kaliskiej, polowano u p. Wacława Kołaczkowskiego i zabito 50 zajęcy. Królem polowania był p. Leon Dzięgielewski.

D. 9 stycznia Członkowie Warsz. Oddziału Tow. praw. myśl. polowali w 20 strzelb na dobrach Osieckich w obrębie Łucznica górna. Zabito: 147 zajęcy i kuropatwę. Najwięcej zabił p. Wł. Słonczyński, 12 zajęcy.

W Rejowcu, w pow. chełmskim, u p. J. Budnego d. 5 stycznia w 15 strzelb zabito: 9 lisów, 3 rogacze, 134 zające, kuropatwę i jastrzębia.

D. 7 stycznia u p. Adama Grabskiego odbyło się doroczne małe polowanie w dobrach Łuszyńskie, w pow. gostyńskim. Jedenastu myśliwych w dziewięciu miotach zabiło: 165 zajęcy, 2 lisy i 4 kuropatwy. Razem sztuk 171. Największą ilość zwierzyny miał na rozkładzie p. Henryk Krzymuski z Falborza, bo 27 zajęcy, 2 lisy i 2 kuropatwy. Kuropatw widziano bardzo mało, do sarn nie strzelano.

W Suchodębiu, w pow. kutnowskim, u p. Kiniorskiego, na polowaniu, urządzonem przez p. B. Wyganowskiego, w 13 strzelb zabito: 143 zające i 6 kuropatw. Królem był p. Kazimierz Witkowski, mający na rozkładzie 44 zające i 3 kury.

Na polowaniu w Kamionce, u p. Ciechanowskiego, w pow. Ostrowskim, zabito: 101 zajęcy, 2 bażanty, 1 kuropatwę i 4 rogacze. Najwięcej sztuk na rozkładzie miał pan Edward Busse.

W Siemianowie, w pow. kutnowskim, u p. Komeckiej w 5 strzelb zabito: 92 zające, lisa, 6 sów i 11 kuropatw. Najwięcej na rozkładzie miał p. Kazimierz Witkowski (34 sztuki).

D. 13 b. m. odbyło się parogodzinne polowanie w Natalinie, należącym do dóbr Wilanowskich hr. Ksawerego Branickiego. W 5 strzelb zabito: 45 kogutów bażancich i 33 zające.

Wykazy Myśliwskie.

W Osieku nad Wisłą, w pow. kozienickim, u p. Bazylego Petrowa, w ciągu 1903/4 r. zabito:

Zwierzyny użytkowej: kozłów 3, zajęcy 52, cietrzewi 2, kuropatw 278, przepiórek 3, słonek 1, dubeltów 1, bekasów 130, kaczek 18, cyranek 19, różnych 15—razem 522; szkodników: jastrzębi 8, kotów 8, psów 13—ogółem 551. W ostatnim sezonie z powodu mniejszej ilości kuropatw, jak zwykle, cyfra zabitych kuropatw wykazuje tylko 278, gdy lat poprzednich mianowicie w sezonie 1901/2 r. padło 724, a w 1902/3 r. 553. Są tam kuropatwy wczesnego i późnego lęgu i wykształcone w jesieni, ważą każda przeszło 1 funt. Zajęcy zaś bardzo mało — pomimo, że z wiosny dały się widzieć dość obficie.

Drobiazgi myśliwskie.

Przeciw kłusownikom. Policya powiatowa w okolicach Warszawy rozwinęła energiczne starania w celu położenia tamy rozwielmożniającemu się kłusownictwu. Pomiędzy innemi środkami zaczęto konfiskować zwierzynę, znalezioną w mieszkaniach osób, poszlakowanych o utrzymywanie nieprawne broni palnej. Kłusownicy wpadli na nowy pomysł, zmierzający do upozorowania prawności posiadania zwierzyny. Oto wyszukują w mieście rozmaitych „myśliwych świątecznych“ i nakłaniają ich do udzielania świadectw, iż zwierzynę upolowaną podarowali obecnym jej posiadaczom. Niektórzy kłusownicy, właściciele działek gruntu, podpisują w tym celu z myśliwymi świątecznymi zupełnie fikcyjne kontrakty na wydzierżawienie polowań.

Sarny. Zarząd pałaców skierniewickich zwierzynę, zabijaną podczas polowań, sprzedawał do Berlina po cenach hurtowych 10 kop. za funt. Ponieważ na rynku warszawskim ceny zwierzyny są wyższe, niż w Berlinie, zarząd pałaców chce wejść w stosunki z tutejszymi handlarzami i w tym celu przysłał do Warszawy 79 zabitych sarn.

Psy dwunożne. Z Białegostoku piszą, że wielu z białostoczan zainteresował niezwykły wybryk natury w świecie zwierzęcym. Oto na podwórzu jednego z tamtejszych obywateli oszczeniła się suka podwórzowa i wszystkie szczenięta w liczbie trzech, pozbawione są nóg przednich. Dwunożne zwierzątka nie budzą odrazy i cieszą się jaknajlepszem zdrowiem.

Wczesna zima. Myśliwi ze Szlązka i Morawii narzekają na wczesną zimę i obfite opady śniegowe, jakie nawiedziły tamte okolice. Śnieg taje tylko w miejscowościach, nizko położonych, na wyżynach zaś daje się uczuć dotkliwie. Przepowiadają tam wogóle bardzo ostrą zimę, na co z myśliwymi zgadzają się także stare kumoszki, wróżące z objawów atmosferycznych, jaka będzie pogoda w przeciągu całej zimy.

Wykłady. W Wilnie wprowadzone zostają kursy dla strażników ziemskich. Między innemi przedmiotami strażnicy zapoznają się z ustawą łowiecką, rybną i t. p.

Lwica na licytacyi. W wiedeńskim zakładzie zastawniczym, rządowym, gdzie zarazem znajduje się publiczna hala licytacyjna, odbyła się niedawno nie-

zwykła licytacya. Wystawiono mianowicie ośmiomiesięczną lwicę na sprzedaż. Sprowadził ją pewien handlarz z Hamburga i nie chciał potem jej przyjąć. Kolej państwowa, nie mogąc sobie z tym transportem poradzić, umieściła zwierzę chwilowo w Schoenbrunie, a następnie wystawiła na licytacyę. Nabyła lwicę za 400 koron dyrekcya cesarskiego ogrodu zoologicznego.

Nowy proch. „Times" donosi, że pułkownik angielski, Hope, wynalazł nowy proch bezdymny, który nazwał „welocytem". Dopóki wynalazek nie uzyska patentu, nie można go opisać szczegółowo. Co do składu swego, „welocyt" nie jest w niczem podobny do dotychczasowych materyj wybuchowych. Pomysł jest najprostszy i pułkownik trafił na niego, jak to najczęściej bywa,—przypadkiem. Pewnem ma być, że nowy ten proch zmieni cały dotychczasowy system karabinów i sposobów strzelania.

Z parlamentu francuskiego. W ostatnich dniach rozbierano tam kwestyę zwierzyny, a głównie dzików. O ile izba francuska okazała się jaknajlepiej usposobioną dla ptactwa, o tyle była surową względem grubej zwierzyny. Izba zapatruje się na dziki, jak na szkodliwą zwierzynę i pragnie zupełnego ich wytępienia. Wytępienie to ma nastąpić w przeciągu lat dwudziestu. Deputowany Violette odezwał się w następujący sposób: „środki wytępienia, do których do tej pory się uciekano, są niedostateczne; radykalnym środkiem byłoby utworzenie premiów. W ten sposób w przeciągu lat 20 doszłoby się do zniszczenia dzików. Minister rolnictwa, Mougeot, zapatrywał się w sposób, o wiele więcej umiarkowany, i był zdania, że proponowane premia nie powiększyłyby liczby dzików, zabitych co rok, albowiem polowanie na tę zwierzynę jest bardzo pociągające i korzystne". Izba jednak włączyła dziki do liczby szkodliwej zwierzyny i zrównała je z wilkami i krukami. Suma 6,000 franków, która do tej pory bywała wyznaczaną corocznie na premia, zachęcające do wytępienia wilków, została podniesiona do 50,000 franków.

Wypadki na polowaniach królewskich. W ubiegłym miesiącu wydarzyło się kilka niezwykłych wypadków na polowaniu, i to wyłącznie w rodzinach królewskich: Podczas polowania w Windsorze, królowa angielska, Aleksandra, i królowa włoska, Helena, były w niebezpieczeństwie życia. Dostały się bowiem na linię strzałów. Kula, wystrzelona z fuzyi króla Wiktora Emanuela, gwizdnęła tuż obok uszów obu królowych.

Podczas polowania, w którem uczestniczył król hiszpański, pod Madrytem leśniczy zastrzelił pastucha. Król, wstrząśnięty do żywego tym wypadkiem, zaniechał dalszego polowania. Krążyły też pogłoski, że zastrzelony podczas łowów królewskich pastuch, był nienawistnie usposobiony dla króla i jego rodziny. Podobno został zastrzelony w chwili, kiedy wymierzył strzelbę na króla.

Z Lizbony donoszą, że król portugalski, Carlos, polując w tych dniach na dziki w lasach pod Almentejo, został napadnięty niespodzianie przez ogromnego wilka. Król nie stracił jednak przytomności, lecz celnym strzałem zabił wilka na miejscu.

Zgon 19-letniej, najmłodszej córki arcyksięcia Józefa austryackiego, Klotyldy Maryi, nastąpił według pewnej wersyi, skutkiem wypadku na polowaniu w kniejach Alcsut.

Cesarz zaś austryacki, Franciszek Józef, będący, jak wiadomo, zawołanym myśliwym, miał na polowaniu wypadek... przyjemny; zabił bowiem dwutysięczną kozicę, polując w pobliżu Eisenerzu w grudniu.

Żona: „Mój drogi, skoro idziesz na polowanie, przynieś-że odrazu dwa zające".

Mąż: „Dlaczego dwa?"

— Bo dwa dostaniesz taniej...

* * *

— Patrz — rzecze ojciec w gabinecie zoologicznym do syna — oto lew!

Dziecko zbliża się i chce dotknąć zwierzęcia.

— Co robisz! — wrzeszczy przerażony rodzic — może on nie jest dobrze wypchany!

* * *

— Tam do licha — narzeka profesor. — Zamiast strzelby zabrałem parasol na polowanie.

— Wszystko jedno! — odzywa się nadleśny. — Koty tak samo będą zmykały przed parasolem, jak przed pańską strzelbą.

ZAPYTANIA i ODPOWIEDZI.

Zapytanie Nr. 2. 1) Gdzieby można było dostać kur bażancich, żywych, zwyczajnych i srebrnych, jak również kogutów.

2) Jakie są dzieła w języku rosyjskim lub francuzkim, traktujące o hodowli bażanta, gdyż o polskich, przez redakcyę wydanych, wiem i je posiadam.

3) Jak brzmi w języku polskim *Euplocamus albo Cristatus*, którą to nazwę spotykałem w dziełku dodatkowem „Bażant Łowny", a którego objaśnienia nigdzie w tymże dziełku nie spotykałem.

4) Gdzie mógłbym znaleźć bliższe objaśnienia o Tinamu, przepiórce kalifornijskiej i dzikich indykach. *N. B.*

Odpowiedź Nr. 2. Jedyna bażantarnia w kraju, która sprzedaje bażanty żywe, jest krośniewicka (Krośniewice, gub. warszawska). Gdyby tam się kur nie znalazło, radzimy udać się do Gudery w Wiedniu. Z dzieł francuzkich, traktujących o hodowli bażantów i przepiórek kalifornijskich, możemy zarekomendować: *E. Leroy, l'Aviculture, Faisans, Perdrix etc. Paris*. O hodowli Tinamu znamy tylko luźne artykuły we francuzkich pismach myśliwskich. *Euplocamus albo Cristatus* brzmi po polsku bażant białoczuby.

Treść Nr 2 „Łowca Polskiego".

Prenumerata **„Łowca Polskiego"** wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.